

# RECENZJE I OMÓWIENIA

## Istnienie nieistniejące. Wisława Szymborskiej tęsknoty za transcendencją

Wisława Szymborska, *Dwukropek*, Wydawnictwo a5, Kraków 2006, 46 s.

Łacińskie „transcendo”, od którego wzięte swój rodowód ukute przez filozofów pojęcie transcendencji, oznacza „przejść, przestąpić; przejść do czegoś, przekroczyć” i chyba żadne inne słowo trafniej nie oddaje tego punktu egzystencji, do jakiego zmierza Wisława Szymborska.

Świadomością i stanem ducha u progu owej tajemnicy przejścia do tego, czego nigdy nie ośmiela się nazwać wprost (niebytu? śmierci? a może innej formy egzystencji?), dzieli się poeta z czytelnikami w swoim najnowszym tomiku, którego skromny tytuł - *Dwukropek* - otwiera jednak przed czytelnikami różnorakie filozoficzne perspektywy i możliwości odczytania zawartych w nim tekstów. Delikatną materię tematu przemijania i odchodzenia, z której tak łatwo stworzyć konwencjonalny, sentymentalny banał, Szymborska wykorzystuje z precyzją mistrza, czującego i wiedzącego, że wszelki nadmiar byłby w tym przypadku nietaktem i nadużyciem. Posiadła bowiem poetka niezwykle rzadki dar nazywania tego, co jest właściwie poza słowami, co jest miłczeniem i znakiem zapytania bardziej niż oznajmieniem. Im bliżej człowiek owej granicy nieznanego, tym bardziej brak odpowiedzi, tym większa też ich potrzeba. Ta sama, która skłoniła Kanta do refleksji nad tym, co znajduje się poza zasięgiem naszego doświadczenia i świata poznawalnego zmysłami. Ta potencjalna kategoria bytu zaistniała u wielkiego myśliciela także w języku - za sprawą ukutego przez niego określenia: t r a n s c e d e n c j a. Najnowszy tomik Szymborskiej jest próbą uchwycenia owej bezcielesnej substancji niebytu przezierającej spoza zwykłych zdarzeń i przypadków, które rządzą ludzkim życiem, bo przecież - jak wyznaje -

*Niewiele brakowało  
a moja matka mogłaby poślubić  
pana Zbigniewa B. ze Zduńskiej Woli.  
I gdyby mieli córkę - nie ja bym nią była.  
Może z lepszą pamięcią do imion i twarzy,  
i każdej usłyszanej tylko raz melodii.  
Bez błędu poznającą, który ptak jest który.  
Ze świetnymi stopniami z fizyki i chemii,  
i gorszymi z polskiego,  
ale w skrytości pisującą wiersze  
od razu ciekawsze od moich.*

(Nieobecność, s. 5)

Istnienia równoległe, którym nie dane było się zrealizować w widzialnej i dotykanej postaci, są dla Szymborskiej równie intrygujące jak te, które rzeczywiście miały miejsce. Subtelny związek, jaki je łączy, wydaje się kwintesencją fenomenu ludzkiego życia, jedynym sposobem na poradzenie sobie ze świadomością konieczności, jakim w sensie biologicznym podlegamy wraz z całym światem, który nas otacza. Nawet bowiem zwykła wycieczka do lasu może stać się swego rodzaju objawieniem, odkryciem czegoś więcej ponad to, co da się zobaczyć i rozpoznać. Nie będzie to jednak leśmianowskie pochłonięcie przez zaborczą zieleni, roztopienie się w niej, pochłonięcie przez wciąż nie nasycony i żądający wciąż nowych ofiar absolut, choć podmiot „Wchodzi do lasu, / a właściwie zatracza się w nim”. U Szymborskiej doświadczenie to ma charakter epistemologiczny,

prowadzący do intuicyjnego poznania i przecucia natury świata z całą jego paradoksalnością i niepowtarzalnością, prozą i poezją, duchem i materią objawiającymi się w swych nieskończone indywidualnych formach i przejawach ( także, dodajmy, bardzo po Leśmianowsku zróżnicowanych za pomocą mnogości oddających nieustanny ruch w przyrodzie określeń odczasownikowych):

*Jakie mrowie w parowie, igliwie, listowie,  
czyje skoki, przeskoki, odskoki na boki,  
co tu klonem, jesionem, co brzozą, co łożą,  
tylko śmierć tutaj gada  
pospolitą prozą.*

*Wie, co tu biegiem, ściegiem,  
samym ścieżki brzegiem,  
przemknęło i zniknęło,  
choć arcydzieło,  
nieźle nadprzyrodzone i podprzyrodzone.*

(Moralitet leśny, s. 11)

Zdziwienie, zaskoczenie, podziw, ale przede wszystkim spokojna akceptacja towarzyszy obserwacjom świata i regulujących go praw funkcjonujących poza kategoriami dobra i zła:

*Wtem jakieś zakłócenie błęgiego bezruchu.  
Dwie chcące żyć istoty zerwane do biegu.  
To antylopa w gwałtownej ucieczce,  
a za nią lwica zziąjana i głodna.*

[...]

*Na pytanie kto winien,  
nic tylko milczenie.  
Niewinne niebo, circulus coelestis,  
Niewinna terra nutrix, ziemia żywicielka.  
Niewinny tempus fugitivum, czas.  
Niewinna antylopa, gazella dorcas.  
Niewinna lwica, leo massaicus.  
Niewinny hebanowiec, diospyros mespiliformis.  
I obserwator z lornetką przy oczach,  
w takich, jak ten, przypadkach  
homo sapiens innocens.*

(Zdarzenie, s. 12-13)

Ten stoicyzm pogodzenia i rezygnacji wynika z pewności, że w królestwie natury, do którego należymy, jesteśmy tylko wiernymi poddanymi, a specjalne przywileje nie należą się nawet istotom obdarzonym rozumem. Jest jednak domena, w której władamy niepodzielnie, gdzie dana nam jest moc dowolnego zmieniania i kształtowania świata, a nawet mamy możliwość ucięcia sobie pogawędki z beznamiętną Atropos - mitologiczną Parką przecinającą nić ludzkiego żywota (Wywiad z Atropos).

Oto po raz kolejny w poezji Wisławy Szymborskiej powraca triumfujące i pocieszające słowo, pozwalające bezlitosnym determinantom ewolucji przeciwstawić horacjańskie *non omnis moriar* i szczęśliwe zakończenia opisywane przez literaturę, potrzebne - jak głosi anegdota, w którą poetka pragnie wierzyć - nawet samemu panu Darwinowi, co „Przemierzając umysłem tyle obszarów i czasów / naoglądał się tylu wymarłych gatunków, / takich triumfów silnych nad słabymi, / tak

wielu prób przetrwania, / prędzej czy później daremnych, / że przynajmniej od fikcji / i jej mikroskali / miał prawo oczekiwać happy endu „ ( *Pociecha*, s. 14 ), bo gdy trafił na smutną książkę, „z furją ciskał ją w ogień”. Subiektywizm i indywidualizm dzieł literackich w jakiś - nie bezpośredni - sposób wydaje się poetce przypominać subiektywizm i indywidualizm życia, w którym nic nie jest takie, jakim przedstawia się na pierwszy rzut oka, a spojrzenie nań z wielu różnych perspektyw i punktów widzenia ujawnia wciąż nowe jego aspekty i odcienie. Szyborska jest specjalistką od spoglądania na rzeczywistość z najmniej spodziewanego miejsca i stanowiska, umożliwiającego wydobyć z pozornie dobrze znanych rzeczy i zjawisk bogactwa zupełnie nowych znaczeń i sensów. Czy przyszłoby bowiem komukolwiek z Państwa do głowy, by spojrzeć na Hitlera oddanymi oczami psa, wiernego owczarka alzackiego, którego powołaniem było „czekanie, ufanie”, a losem - jak mówi poetka - długa i bolesna śmierć od kuli, gdy historia - przynajmniej dla jego pana - okazała się nie łaskawa, zmieniając swój bieg? (*Monolog psa zaplątanego w dzieje*).

Przypadku, ironii i bezmyślnego okrucieństwa dziejów, bezwarunkowości praw natury czy nawet szczęśliwego trafu (jak wyjście z labiryntu, którego nie szukamy, ale które szuka nas w wierszu *Labirynt*) nie próbuje Szyborska tłumaczyć, uzasadniać ani wyjaśniać jakąkolwiek wyższą (czytaj: boską, nadprzyrodzoną, absolutną) koniecznością czy racją, na której kapryśną wolę trzeba się zdać. Transcendencja, jeśli istnieje w nas - jest nam dana, tu i teraz, a świat, gdzie „nie ma poezji / i nie ma filozofii, i nie ma religii „bywa, na szczęście, tylko sennym koszmarem poety, bo tylko my sami możemy skazać się na „Życie z kropką u nogi” (*Okropny sen poety*), odrzucając wielce obiecujące oczekiwanie zapowiadane przez dwukropkę.

Czy przypadkowo zatem pojawia się w tej poezji nazwisko Blaise'a Pascala, twórcy rachunku prawdopodobieństwa (sic!), rzecznika „jasności i wyrazistości” w poznaniu, który jednak u schyłku życia porzuca racjonalizm dla mistycyzmu? Może więc i poetka dopuszcza możliwość, że poza rzeczywistością widzialną jest coś więcej niż jesteśmy w stanie zobaczyć i zbadać? To tylko hipoteza, kolejne pytanie zawieszono w kosmicznej przestrzeni, żądającej od nas „zdumionego udziału w tej grze o regułach nieznanych” (*Nieuwaga*).

Niezmiennie też frapuje Szyborską proteuszowa natura czasu, jego zmienność, ambiwalencja i relatywizm, decydujące o chwilowości wszystkiego i sprawiające, że nawet niebo - jakkolwiek byśmy to pojęcie rozumieli - można nazwać „tyko z pozoru wiecznym i statecznym.” (*Właściwie każdy wiersz*). Rekompensatą za przemijalność i kruchość bytu są więc wycieczki do rzeczywistości równoległych, potencjalnych, których istnienie - za sprawą stwarzającego je słowa - wydaje się nie mniej realne od tego, które - w swej niepowtarzalnej jednorodności - zostało nam dane. To słowo-Logos naszą egzystencję pomnaża i zwielokrotnia, utrwala i wzmacnia, dając, jeśli nie sens może, to - choćby nawet tylko iluzoryczny, ale jednak zwycięski - odpór nicości.

Anna Szóstak

## Lieder vom ersten Anfang

Frank Viehwegs „Letzte Chance” im Verlag NORA erschienen  
Frank Viehweg, „Letzte Chance - Liebeslieder”, Verlag NORA, 118 Seiten.

So lange zwei Menschen miteinander das leben können, wovon sie träumen und worauf sie für die Menschheit hoffen, ist niemand verloren. Zwei retten immer die Welt. Aber was, wenn sie scheitern, die alles an ihre Liebe banden, als an ein Zeichen, das zu hüten sie berufen waren? „Letzte Chance” ist der vielleicht intimste Gedichtband von Frank Viehweg. Er macht diese Liebe und dieses Scheitern zum Thema. Die Lieder des Verlustes stehen nicht über den Dingen. Die Hilflosigkeit ist nicht beschrieben, sondern durchlitten. Zuweilen kranken die Lieder am Kranksein des Verlassenen, gerade in jenem Kapitel des Bandes, der „Verloren” heißt. Trauer und Wunsch und Klage trachten danach, eine Parallelität des Erlebens zu verlängern, die nicht mehr existiert. Das Verbindende zwischen Ich und Du zerrinnt zur Fiktion. Wie sonst alles hineinfließt in die erwiderte Liebe, ergießt es sich jetzt in den Schmerz. Einer rettet nicht einmal sich selbst. Zugleich ist das bei

NORA edierte Buch eine Wiederbegegnung mit den schönsten Liebesliedern des Berliners aus den vergangenen Jahrzehnten. Liebe bedeutet dem Sänger, „mich dir in den Rätseln beigeseln“. Staunen können und lieben können haben immer miteinander zu tun. Durch die Augen des andern wird alles neu: die Rambla in Madrid, Paris, wie singt von der rebellischen Zeit der Kirschen. Den Wundern aufhelfen, die von sich selber nichts wissen, ist Dichters Art. Und immer vergewissert er sich seiner Geschwister, mögen sie Benedetti heißen oder Nohavica, Chagall oder Rodriguez. Selbst mit den Augen des anderen Liebhabers sieht er seine Geliebte, fürchtet, hofft, die Blicke gleichen sich. Erotisch wird so nicht nur die Liebste von der Nasenspitze bis zur Scham. Erotisch werden die Dörfer Böhmens und der blaue Luftballon, der aufsteigt aus einer Demonstration, der weihnachtliche Obstsalat und die Sternschnuppenzeit am märkischen See. Liebende finden einander in allen Dingen. Sie können jeden Krieg aussperren aus ihrer Umarmung und jede Gewöhnung, ohne die Bedrohung zu vergessen. So bleibt Liebe der gewagte Sprung aus der Wirklichkeit in die gelebte Utopie. Wie Piktogramme wirken die wenigen Illustrationen von Franz Viehweg, Sohn des Sängers, in dem Buch. Schwere Menschenwesen, die sich gerade erst zu erfinden beginnen. Davon singt der Vater, ein um das andere Mal. Und noch die letzte Chance ist nur der erste Anfang.

Henry-Martin Klemt

## Piosenki o pierwszym początku

Frank Viehweg, *Letzte Chance – Liebeslieder (Ostatnia szansa)*, wydawnictwo NORA, 118 s.

Tak długo, jak dwoje ludzi potrafi ze sobą żyć, marzyć, mieć nadzieję, żadnemu z nich nic złego się nie stanie. We dwoje zawsze da się uratować świat. Ale co robić, kiedy to, do czego byli powołani – miłość - im się nie udaje?

„Ostatnia szansa” - tak zatytułowany jest najbardziej chyba intymny tomik poezji Franka Viehwega. Tematem jest miłość i stan po jej utracie. W rozdziale zatytułowanym „Stracony”, bezradność nie jest zwyczajnie opisana, lecz jest pochodną cierpienia. Smutek i żal przeżywane są równoległe. Żal i pustka po drugiej osobie, poddaje w wątpliwość czy w ogóle ta miłość istniała. To, co wypływało z odwzajemnionej miłości, rozlewa się teraz i zamienia w ból.

Wydana przez wydawnictwo NORA książka jest ponownym spotkaniem z najpiękniejszymi miłosnymi piosenkami berlińskiego poety z minionych dziesięcioleci. Miłość dla niego oznacza „pokonanie i oblaskawienie wzajemnych tajemnic”.

Potrafić się dziwić i umieć kochać te zdolności, miało zawsze coś ze sobą wspólnego. Poprzez oczy tego drugiego wszystko staje się niecodzienne. Zarówno zaułki Madrytu czy Paryża jak i rewolucyjna lektura „Czasu czereśni”. Ukazywać cuda, o których istnieniu nikt by nie wiedział - to właśnie jest zadaniem poety.

On sam chciałby mieć wokół siebie pokrewne dusze, bez względu na to jakie mają imiona. Benedetti, czy Nohavica, Chagall czy Rodriguez.

Nawet oczami innego kochanka widzi on swoją ukochaną, pełen obaw ale i nadziei, że ich spojrzenia spotkają się.

Wszystko staje się źródłem erotycznych skojarzeń. Ukochana od końca nosa aż do wierzchołka łonowego. Wioski w Czechach, niebieski balon, który uciekł znad demonstracji, sałatka owocowa na Boże Narodzenie i deszcz komet nad jeziorem.

Kochankowie widzą się we wszystkich przedmiotach. Ich uściski łagodzą każdy konflikt. Nie ma obawy zapomnienia. I tak miłość staje się przeżywaną utopią, w którą przedostali się z rzeczywistości.

Kilka ilustracji wykonanych przez Franza Viehwega - syna piosenkarza - robi w książce wrażenie piktogramów. Odkrywana jest trudna istota człowieczeństwa i o tym śpiewa Frank Viehweg. Jeszcze raz ostatnia szansa staje się ponownym, znowu pierwszym początkiem.

Henry-Martin Klemt

Tłumaczenie Barbara Krzeszewska-Zmyślony

## **Fernab vom Schnellfraß der Moderne Shakespeare-Nachdichtungen von Frank Viehweg bei NORA erschienen**

Frank Viehweg, *Ich rief dich oft - 24 Sonette nach W. Shakespeare*, beide im Verlag NORA erschienen, je 62 Seiten.

Frank Viehweg *Nimm alles was ich liebe - 24 Sonette nach William Shakespeare*, beide im Verlag NORA erschienen, je 62 Seiten.

Jegliches hat seine Zeit. Die der Sonette William Shakespeares hat vorreichlich vierhundert Jahren begonnen und es ist nicht absehbar, wann sie zu Ende gehen könnte. Zuweilen scheint es, als sei damals alles Wichtige ausgesprochen worden, was sich über Liebe, Tod, menschliche Leidenschaft und Fehlbarkeit sagen ließe. Und als könnte alles Folgende nur Wiederholung sein. Gerade deshalb hat jede Dichter-Generation sich diesen Versen aufs Neue genähert. Nun also Frank Viehweg. Schon vor einiger Zeit legte der 1960 geborene Liederdichter aus Berlin das erste Bändchen mit 24 Sonetten vor. Die nummerierten Werke hat er nachträglich betitelt und er singt sie in eigenen Kompositionen. „Ich rief dich oft“ ist das Bändchen überschrieben, das neben den Nachdichtungen auch die Originale enthält und einige federleichte Aktskizzen von Martina Kraft. Natürlich darf das 66. Sonett nicht fehlen, das eine Art Scheideprobe für jeden ist, der sich an Shakespeare wagt. Sie ist geglückt, ebenso wie die anderen Gedichte bedachtsam hindurchgeführt werden zwischen den Geistern und Ungeistern einer neuen Epoche, die Autos an die Stelle von Kaleschen setzt, und was bei Karl Kraus noch als Geckenkleid hingehört, ist inzwischen zum Markenhemd mutiert. Ein Riss in der Zeit aber ist nicht zu spüren. Was sind schon 400 Jahre? Größer scheint der Abstand zum zweiten Doppeldutzend Shakespearescher Werke, das Viehweg nun unter der Titel „Nimm alles was ich liebe“ vorgelegt hat. Die Zeichnungen, diesmal vom Sohn, sind energischer, lassen weniger offen. Der Strich erobert und schließt ab. Der Dichter aber erobert und schließt auf, noch immer. Er gibt zu, dass er sich gegen manchen Vers wehrte, eh er sich seiner annehmen musste. Denn öfter geht es in diesem Büchlein um das Fortgehen für jetzt und das Vergehen für immer, aber auch um Trug und

Täuschung und Ertragen. Nicht nur die Melancholie wiegt schwerer. Der Feder eines Dichters dorthin zu folgen, wo er noch in der Selbstverleugnung ein Wissender ist, wissend um sich und um die, deretwillen er sich beugt, das ist mehr als ein Kunst-Stück. Ist so fernab vom Schnellfraß der Moderne, dass selbst, wer sich der Mode widersetzt, seine liebe Not damit hat. Denn er bleibt doch ein Kind des eigenen, bemessenen Moments. Den Widerstand erspüren, den alle Liebe in sich trägt, ihn fühlbar, hörbar machen, gehört zum Maß der Poesie. Widerstand gegen den Tod und seine Propheten, gegen Hoffnungslosigkeit und Verführungskalkül. Die Wahrheit am Ende: zwei widerstreitende, untrennbar verbundene Zeilen. Wie Schweigen und Singen. Wie Frau und Mann.

*Henry-Martin Klemt*

## **Franka Viehwega naśladowania Szekspira opublikowane przez wydawnictwo NORA**

Frank Viehweg, *Ich rief dich oft - 24 Sonette nach W. Shakespeare*, wydawnictwo NORA, 62 s.

Frank Viehweg, *Nimm alles was ich liebe - 24 Sonette nach William Shakespeare*, wydawnictwo NORA, 62 s.

Wszystko ma swój czas. Czas sonetów Williama Szekspira rozpoczął się przed ponad czterystu laty i nic nie wskazuje na to by miał się wkrótce zakończyć. Niekiedy wydaje się nam, że wszystko co wiemy o miłości, śmierci, ludzkich namiętnościach i niedoskonałościach zostało już powiedziane, a powstające utwory nie wnoszą nic nowego. Mimo to każda generacja poetów próbuje podjąć temat na nowo. Tym razem czyni to Frank Viehweg.

Urodzony w Berlinie w 1960 r., autor tekstów piosenek, już pewien czas temu opublikował swój pierwszy tomik 24 sonetów. Po jakimś czasie ponumerowanym utworom nadał tytuły i wykonuje je we własnych kompozycjach.

„Wołałem ciebie często” tak zatytułowany jest tomik z naśladowaniami Szekspira i oryginałami, ozdobiony subtelnymi szkicami aktów autorstwa Martiny Kraft. Nie brak tu sonetu 66, który jest wyzwaniem dla każdego, kto ma odwagę zmierzyć się z Szekspirem. Autorowi udaje się sprostać temu wyzwaniu i to jest sukcesem. Pozwala sobie - zgodnie z duchem epoki - dawne kolaski zamienić na samochody. To, co jeszcze u Karla Kraule nazywane było pogonią za modą zamienia się u Franka Viehwega w markową koszulę. A my, czytelnicy, dzięki temu nie mamy poczucia upływu czasu.

Cóż wielkiego te marne 400 lat? Większy dystans wydaje się mieć autor do następnych dwóch tuzinów utworów Szekspira zatytułowanych „Weż wszystko co ja kocham”. Rysunki, wykonane przez syna Franka Viehwega, są bardziej jednoznaczne i nie pozostawiają niedomówień. Kreska rysunku zdaje się zamykać temat.

Autor przyznaje, że bronił się przed użyciem niektórych rymów, zanim zdecydował się nimi posłużyć. Odchodzenie na chwilę i przemijanie na zawsze, wytrzymałość na niegodziwość i oszustwa - to tematyka utworów tej książeczki. Nie tylko melancholia ma swój ciężar. Sztuką jest, podążanie poety tam, gdzie może on z wielkim samozaparciem - mając wiedzę, większą od innych - pochylić się nad człowiekiem, by ze swojej wiedzy zrobić użytek na rzecz drugiego człowieka. Tak wielką jest potrzeba miłości i niepoddawanie się wszechogarniającej konsumpcji. Poeta pozostaje dzieckiem własnego określonego czasu.

Miarą poezji jest bunt wypływający z poczucia troski. Ten bunt poeta czyni odczuwalnym i słyszalnym. Bunt przeciwko śmierci i jej wysłańcom. Bunt przeciwko beznadziei i wyrachowanym kalkulacjom. Prawdę podaje na końcu - dwie buntownicze, nierozdzielne połączone linie. Jak milczenie i śpiew. Jak kobieta i mężczyzna.

Henry-Martin Klemt

Tłumaczenie Barbara Krzeszewska-Zmyślony

## O współczesnej dydaktyce słów kilka

*Wymiary szkolnej edukacji polonistycznej*, pod red. Doroty Amborskiej-Głowackiej i Romualda Marka Jabłońskiego, wyd. Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2005.

W Oficynie Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego ukazała się kolejna książka jubileuszowa, tym razem poświęcona profesorowi Marianowi Sinicy. Nosi ona tytuł *Wymiary szkolnej edukacji polonistycznej* i stanowi zbiór artykułów poświęconych dyscyplinie, której jubilat poświęcił większą część swojego naukowego życia – dydaktyce literatury i języka polskiego.

Książka podzielona została na trzy rozdziały, z których każdy stanowi odrębny obszar badań dydaktycznych. Pierwszy z nich, *Edukacja polonistyczna w oglądach naukowych*, prezentuje najnowsze badania dotyczące dydaktyki języka polskiego. Mowa w nim m.in. o potrzebie badań odbioru podręczników szkolonych (Edward Polański), samodzielnym dochodzeniu uczniów do wzoru wypowiedzi (Ryszard Jedliński) czy specjalistycznych podręcznikach sztuki pisania (Barbara Bogołębska). Szczególnie wart uwagi czytelnika jest referat Doroty Amborskiej-Głowackiej, w którym autorka, dokonuje próby zdefiniowania pojęcia „tekst”.

Drugi z rozdziałów, *Słowo i obraz w edukacji*, to zbiór publikacji poświęconych literaturze oraz analizie i interpretacji utworów; a także najnowszych metod nauczania języka polskiego w szkole. Znajdziemy tu teksty na temat twórczej aktywności uczniów (Marzena Magda-Adamowicz), sposobów dbania o głos (Bogumiła Tarasiewicz), czy roli edukacji teatralnej w rozwoju ucznia (Małgorzata Latoch-Zielińska). Wśród artykułów poruszających problematykę literacką, wyróżnić należy pracę Małgorzaty Mikołajczak poświęconą utworowi Zbigniewa Herberta pt. *Zimowy ogród*. Autorka w przejrzysty sposób analizuje ów wiersz pod względem budowy wersyfikacyjnej oraz

interpretuje go na tle poezji Thomasa Hardy'ego (*Drozd pośród zmierzchu*) i Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (*Śnieg, Dzieci na mrozie*).

W ostatnim rozdziale książki zatytułowanym *Horyzonty edukacji polonistycznej*, zawarto osiem bardzo zróżnicowanych pod względem tematycznym publikacji. Wśród autorów znaleźli się min. historyk Zygmunt Kowalczuk (*Makrokosmos w mikrokosmosie historii jednostki. Dydaktyczne walory badań nad mentalnością – Kardynał Ledóchowski*) oraz politolog Wiesław Hładkiewicz (*O języku narracji politologicznej*). Ostatnim tekstem niniejszego rozdziału jest artykuł Katarzyny Węgorowskiej zatytułowany *Dydaktyczno-Gramatyczno-bibliofilski biały kruk*, w którym w piękny i bardzo osobisty sposób autorka przypomina, wydany w 1907 r., rewelacyjny podręcznik Ignacego Steina i Romana Zawilińskiego, *Gramatyka języka polskiego dla szkół średnich*.

Prezentowana książka należy do pozycji bardzo praktycznych, przeznaczonych przede wszystkim dla studentów i nauczycieli języka polskiego. Jej trójdzielną konstrukcją ułatwia czytelnikowi sprawne dotarcie do interesujących go zagadnień. Pozwala również na odszukanie odpowiedzi na pytania nurtujące polonistów. Znajdziemy w niej ciekawe i nowatorskie propozycje spojrzenia na znane powszechnie utwory literackie, a także propozycje metodologiczne, które warto, by zostały wykorzystane w szkolnej praktyce. W ten sposób książka jubileuszowa, a zatem niejako genetycznie polimorficzna uzyskuje spójność i może stanowić nieocenioną pomoc dla wszystkich miłośników literatury i języka polskiego.

Katarzyna Grabias-Banaszewska

## Przesyłki z Żar

Kronika Ziemi Żarskiej nr 3 (2005), 96 s.

Krzysztof Kalicki: *Życie w kawałkach*, Żary 2005, eMBePe, 24 s.

W ostatnim czasie otrzymałem dwie przesyłki. Pierwsza zawierała „Kronikę Ziemi Żarskiej” (2005, nr 3) z prośbą o „życzliwe przyjęcie”. Co niniejszym staram się czynić, albowiem zasługuje na to. Również ten numer potwierdza dobry już tradycyjnie poziom pisma, które założone przez Zdzisława Dąbka nadal redagowane jest profesjonalnie. Obecnie przez jego syna Emila. Kwartalnik daje przykład pracy lokalnego środowiska, całej żarskiej grupy, na rzecz spraw najważniejszych dla życia tej „małej ojczyzny”. W kręgu jego zainteresowań są w zasadzie wszystkie dziedziny życia – gospodarka, historia, kultura, życie społeczne, oświata, natura. Wszystko, co być winno, jest. A najważniejsze, że tej przejrzystej zasady się nie zmienia. Cenię i pozytywnie chcę podkreślić fakt obecności działu literackiego „Literacki Puls Regionu”, który prowadzi Janusz Werstler. Tym razem publikowane są pełne smutku poezje młodej poetki Natalii Szyszkowskiej.

Drugą przesyłkę stanowiła książka - zbiór wierszy Krzysztofa Kalickiego „Życie w kawałkach”. Rzecz ukazała się nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żarach jako kolejna pozycja (tomik 5) w ciekawej, bibliofilskiej serii. Pod redaktorskim patronatem jej opiekuna i realizatora, czyli Jana Tyry. To dobrze, że takie zbiorki od czasu do czasu się ukazują. Są one na pewno edytorską ozdobą miasta. A najważniejsze, że inicjatywa tego typu nie wygasła. Nie trzeba tej szansy kulturalnej w tym miejscu chyba nikomu uzasadniać. Miejsce tu na pomysły oryginalne. Jeśli jest w takim przedsięwzięciu coś warte respektowania, to poza wszystkim innym, jedna zasada, a mianowicie dbałość o poziom publikowanej literatury. Dzisiaj wielu piszących, czemu trudno się dziwić, rości sobie pretensje do bycia poetą, a publikacja zbioru ma oznaczać osiągnięcie tego literackiego celu. Nie twierdzę, że wszystkie tomiki mogą być na jednolitym wygórowanym poziomie. Nawet profesjonalnym wydawnictwom to się nie udaje. Są jednak granice przyzwolenia, których nie powinno się przekraczać. Moim zdaniem zbiorek Kalickiego to właśnie czyni. No niestety. W ten sposób jakby nie było postarał się o nobilitację autora, który winien jeszcze sporo popracować nad wytworami swojego – powiedzmy – poetyckiego ducha. Ale cóż, mamy to, co mamy. Na dodatek, jeśli przeczytać obszerną samochwalczą notę biograficzną, to możemy ulec wrażeniu, że chodzi o autora cenionego.

A tymczasem poza totalnym wręcz komplikowaniem świadomości i nazbyt częstym uwalnianiem poetyckiej frazy od logicznych związków semantycznych trudno się czegokolwiek więcej w tych wierszach dopatrzeć. To jakby mnożenie słów dla samego mnożenia, bezkarne, bez pokrycia w podmiotowym doświadczeniu mnożenie. Jakby uprawianie poezji nie miało polegać na całkiem realnym akcie poznawczym, kreacji, opisie obrazu rzeczywistości, czytelnym, dającym się odnosić do sfery emocjonalnej lub egzystencjalnej. Wiem, że sposoby nie muszą być jednorodne. Muszą być jednak wyraziste.

W tej magmie słów na moment zaledwie wyblyskują jakieś konkrety, które coś usiłują komunikować czytelnikowi. A to, że podmiot „Na szarej prowincji / w oparach samotnej i głuchej czaszki”, co mogłoby zapowiadać może całkiem niezły wiersz, ale zabrakło tego typu kontynuacji. A to, że „Nigdy nie macie moich oczu”. Tu zaś, poza pierwszym, obiecującym wersem, cóż, jakiś zespół przypadkowych przedmiotów. Brak woli wypracowania całej struktury wiersza od pierwszego do ostatniego wersu. Nazbyt Kalickiego fascynują doznania zupełnie subiektywne, podchwytywanie impulsów, często wyłącznie o wartości wrażeniowej, w których aż roi się od znaczących wyłącznie dla niego („kawalków”) marginaliów, np.: „Zmieciony choć nie oszlifowany diament / Nieważny jak liść / Nadwrażliwą serpentyną zagubionego / deptaka / Mdły hałas mrowiska samotności / Zdenerwowanie przez kilka zbędnych / podpisów”. To jest czysta poetyzacja. Przy dobrej woli można powiedzieć, że autor wyczuwalnie ociera się w tych wszystkich usiłowaniach o otaczającą realność, swoje w niej życie, ale tylko ociera. Podczas, gdy potrzebna jest wyrazistość, do której przestrzegania jednak szczerze zachęcam.

Oczywiście nie chcę przez to, co napisałem, odmawiać Krzysztofowi Kalickiemu czegokolwiek, a wyłącznie przestrzec przed ułatwionym pojmowaniem tworzenia. I to byłoby na tyle, gdy idzie o przesyłki z Żar.

## A poza tym „Lamus”

*Lamus*. Pismo Literacko-Artystyczne nr 14 (2005), Klub Myśli Twórczej Lamus, 108 s.

Ukazał się po raz czternasty. I chyba wszyscy gorzowscy twórcy w nim są. W moje ręce trafił tradycyjnie już, przy okazji wręczenia lauru lubuskiego „Wawrzynu”. Eugeniusz Wieczorek (redaktor naczelny) osobiście, rokrocznie na tę imprezę przywozi kilka egzemplarzy. To miłe i sympatyczne. Jakby jeszcze duch szczerego dzielenia się wytworami kultury nie całkiem wygasł. To pismo, rocznik, ma swój już ustalony klimat i wyraz dbałości o przejrzystą zawartość, bogactwo informacyjne, a także - co jest nie mniej ważne - dobrze zrealizowaną oprawę plastyczną. Czegóż więcej trzeba? Może odbiorcy, który by się nie odwrócił? Ten numer robi trochę nostalgiczne wrażenie. Owszem są wiersze, proza, laureaci konkursu im. Z. Morawskiego (Łazuka, Gąsiorek, Lipnicki, Furman, Kierus, Szmidt i inni) i artykuły, recenzje, felietony o miejscowych wytworach, napisane z talentem wnikliwością przez Krystynę Kamińską czy Hannę Kaup. Jest prezentacja sztuki wszelakiego rodzaju. Kultura manifestuje swoją obecność oraz przegląda się w lustrze słowa. I tak być powinno. Trudno jednak nie zauważyć, że akcent został położony na nutę pożegnalną. Jakby to sobie uświadomiono. Tak wielu już odeszło, a wszyscy w Gorzowie byli, np. Rzeszewski, Strebejko, Nowicka, Słowik, Ciesielski, Gordon, Szalbierz, Jancarz i inni. Teksty o tych postaciach otwierają pismo. To wszystko na białym, kredowym papierze, który ma swój ciężar.

## Pomnik ze słów

Henryk Ryszard Żuchowski, *Opowieść o niepowtarzalnym życiu Haliny Lubicz*, Lublin 2005, Polihymnia, 172 s.

Przeczytałem książkę „Opowieść o niepowtarzalnym życiu Haliny Lubicz”. Przeważającą na wielu stronicach przez Henryka Ryszarda Żuchowskiego bohaterkę poznałem osobiście. Do mieszkania przy Sucharskiego w Zielonej Górze, gdzie wraz z Michałem Kaziowem mieszkała, przy-



chodziłem często i regularnie. Tak się bowiem złożyło, że w pewnym momencie podjąłem się pełnienia użytecznego zadania lektora i sekretarza. No, ale nie o tym chciałbym.

Panią Halinę poznałem w jej latach „późnych”, kiedy już nie bez trudu mogła zdobywać się na większą aktywność, ale cechy jej charakteru ciągle dawały o sobie znać. Na pewno była osobą nieprzeciętną, władczą, aktywną, pracowitą, rzetelną, otwartą na ludzi. To nie ulega wątpliwości. Zdecydować się potrafiła w swoim życiu niemal zawsze na coś niekonwencjonalnego. Będąc cenioną aktorką znalazła siły i czas, by zaopiekować się dwudziestoparoletnim niewidomym i bez obu rąk, czyli Michałem Kaziowem. Ona sama jako artystka była zauważana, a ten fakt dodatkowo (nie bez udziału czynnika politycznego, o czym autor nie pisze) przyczynił się do nie pozbawionego fascynacji zainteresowania jej osobą. Książka, autorstwa jej syna, z zawodu reżysera i aktora, nie ze względu tylko na ten przełomowy epizod została napisana. Raczej ze względu – tak myślę – na odczuwany przez niego obowiązek przedstawienia całości niezwykle barwnego i bogatego w różnorakie przejścia matczynego żywota, którego wzór i jego samego musi gdzieś w głębi fascynować. Raczej nie jest to tekst sentymentalny. Dąży w nim autor do zobiiektywizowanej opowieści, relacji, do próby spojrzenia jakby z zewnątrz, co oczywiście nie zupełnie może być możliwe. Cechą tego dokonania jest to, że został nakreślony wizerunek od dnia urodzin do momentu śmierci. To osobowość matki wyzwoliła potrzebę wystawienia jej pomnika ze słów „w stulecie urodzin”. Autor wywiązuje się z tego zadania w miarę rzetelnie. Splaca w ten sposób oczywisty dług synowski. Wychodzi z tego zamierzenia o tyle obronną ręką, że chociaż opowieść dotyczy w znacznym, koniecznym zakresie prywatności bliskiej osoby, to jest to książka w ogóle o teatrze, zagadnieniach tego specyficznego zawodu, zwłaszcza inaczej funkcjonującego w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Nie ujawnia autor jednak (szkoda) jakichś specjalnych sekretów lub tajemnic, ale mało znane fakty, zresztą różnej kategorii, np. dotyczące udziału jako sanitariuszki w wojnie polsko-bolszewickiej. Czytelnik znajdzie poza tym dokładną relację z wielu sezonów teatralnych, sprawnie wzbogaconą anegdotami. Kiedy natomiast w jednej z odsłon „Z rodzinnego albumu” przytacza w całości wiersz „Bądź pozdrowiona miłości moja”, to miałem duże wątpliwości czy to sensowne. Niekiedy w tym gąszczu i wirze spraw zaledwie wylania się sama bohaterka. A więc tło i kontekst jej życia, warunki egzystencjalne i historyczne, są stale obecne. I dobrze, bo gdyby to życie miało być pokazane głównie jako zjawisko i fenomen, to książkę musiałby autor napisać w innej zupełnie stylistyce, ściśle literackiej. W takiej, by w tekście samym, nie tylko w sferze dokonań i faktografii zawarte zostało uzasadnienie, ale jak to ma miejsce np. w książce Różewicza „Matka odchodzi”. Tu Halina Lubicz pokazana jest jako osobowość wtopiona w większą strukturę społeczną, w niej tkwi, pełni świadomie akceptowaną rolę, ma większe lub mniejsze „sukcesy”, ale przecież, mimo walorów osobowości, mimo (co jest akcentowane) predylekcji do życia teatralnego (jego ruchu, śpiewu i tańca), niezależności postępowania, poza decyzją opiekuńczą, dla niektórych dziwną i nie dająca się prosto wytłumaczyć, żyje jak wielu innych, podobnie jak ona będących dobrymi, obowiązkowymi ludźmi i aktorami czy opiekującymi się niepełnosprawnymi. Tyle tylko, że jej dokonania łączące się z Michałem Kaziowem zostały natychmiast nagłośnione, wyeksponowane propagandowo, a więc przez to nabrały dodatkowego w ówczesnych latach waloru kreacji medialnej, podczas gdy przeważająca większość osób w podobnej sytuacji, z równie wielkim poświęceniem i heroizmem, przechodziła bezimiennie taką samą drogę. Podobnie istotną. Podobnie trudną, której nie towarzyszyło żadne zewnętrzne zainteresowanie. Oczywiście ma Halina Lubicz ustalone miejsce w lokalnej legendzie naszego miasta, o czym świadczy nazwanie jej imieniem jednego z rond oraz sali teatralnej. Książka Żuchowskiego, chcę to zauważyć: starannie wydana, tę legendę również tworzy i podtrzymuje.

*Czesław Sobkowiak*